

# MIŁOŚĆ W CZASACH ROZKŁADU

The illustration depicts a dark, cavernous setting. In the center, a man with a long black beard and a red hooded cloak stands next to a woman in a blue hooded cloak. The man holds a large, broadsword. They are surrounded by green and yellow magical energy or smoke. In the background, there are dark, rocky structures and a large, multi-eyed creature on the right. The overall style is dark and atmospheric.

GDY ZABRAKNIJE MAGII,  
TRZEBA SIĘGAĆ PO WŁASNY UROK

D.B. FORYŚ MARCIN HALSKI

MIŁOŚĆ  
W CZASACH  
ROZKŁADU

*Miłość w czasach rozkładu*

© D. B. Foryś, Marcin Halski

© for the Polish edition by Wydawnictwo Hm...

All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone

Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody twórców

Redakcja: Kinga Rutkowska

Korekta: Wydawnictwo Nie powiem

Projekt okładki: Karol Szadura

Skład: D. B. Foryś

ISBN: 978-83-67448-03-1

Wydanie pierwsze

Wojkowice 2022

Wydawnictwo Nie powiem

Email: redakcja@niepowiem.com.pl

Telefon: 518833244

Adres: ul. Sobieskiego 225/9, 42-580 Wojkowice

[www.niepowiem.com.pl](http://www.niepowiem.com.pl)

D. B. FORYŚ MARCIN HALSKI

# MIŁOŚĆ W CZASACH ROZKŁADU

*Gdy zabraknie magii,  
trzeba sięgnąć po własny urok*

**NIE**  
  
**POWIEM**

*Powieść dedykujemy wszystkim,  
którzy nie biorą życia zbyt poważnie*

# WSTĘP

Byłby to ogromny wstyd, gdyby autorzy nie zamieścili żadnego wstępu do książki, która z założenia ma wymykać się wszelakim normom. To, co trzymasz w ręce, drogi Czytelniku, twórcy zakwalifikowali do gatunku pulp fiction, czyli powieści z elementami dark fantasy, wrednego humoru i erotyki (z pozdrowieniami dla Quentina Tarantino od Marcina i buziakami od Doroty).

Generalnie fabułę zaczął tworzyć Marcin Halski, jednak szybko zauważył, że postacie męskie zupełnie mu nie wyszły i poprosił o pomoc D. B. Foryś. Ponieważ Dorota z założenia nie akceptuje słowa *nie*, zabrała się do pracy. Wtedy padło również hasło: „zróbmy to tylko we dwoje, ale na oczach wszystkich”.

I co się okazało? Tworzenie w duecie potrafi być ciekawym doświadczeniem, a podczas pisania poniższej książki:

- nie ucierpiało żadne zwierzę (ani demon),
- nie doszło do większych kłótni i fochów pomiędzy twórcami, chociaż czasem bywało blisko,
- po postawieniu ostatniej kropki autorzy nadal się do siebie odzywają,
- książki rzeczywiście zaginają czasoprzestrzeń – można przeżywać przygodę podczas pisania w dwóch miejscach naraz,
- wspólna powieść to dwa razy więcej szalonych pomysłów i mnóstwo zabawy,
- erotyka i fantastyka nie gryzą się aż tak, jak niektórzy podejrzewają.

Jest to również pierwsza powieść pod szyldem *Nie powiem*, którego pomysłodawcami jest właśnie ta specyficzna dwójka. Jednakże samo wydawnictwo nie bierze odpowiedzialności za ich pomysły ;)

Dorota i Marcin obiecują, że poniższa książka dostarczy Ci niezapomnianych wrażeń oraz ogromnej dawki rozrywki, rozbawi do łez i długo nie da o sobie zapomnieć.

Pozostało nam tylko życzyć Ci miłej zabawy. Wszelkie skargi, prośby o drugi tom oraz rachunki za wizyty u specjalistów od zdrowia psychicznego potrzebnych po lekturze należy kierować do autorów.

No i najważniejsze, jakiegokolwiek podobieństwo do osób żyjących jest czysto przypadkowe, a nawiązania do rzeczywistych miejsc, wydarzeń i zachowań społecznych wytworem wyobraźni pisarzy.

Wydawnictwo

*Nie powiem*



# CZEŚĆ PIERWSZA

Nie każdy jest tym, za kogo się podaje...



# ROZDZIAŁ 1



Najpierw dotarła do niej specyficzna woń – charakterystyczna, nie do pomylenia z czymkolwiek innym. Fetor gnijącego ciała sunął wręcz przez korytarz, wgryzając się w podrapane ściany i sącząc pod drzwiami. Zanim w pełni wypełnił jej zmysły, wiedziała, że może zwiastować wyłącznie kłopoty. Mimo wielu lat pracy w zawodzie nadal odczuwała lęk przy obcowaniu ze zwłokami.

Nie mogła jednak pozwolić sobie na żadne opory czy zwątpienie – smród był naprawdę intensywny, a to oznaczało, że nieśli kogoś, kto zginął zbyt dawno temu. Teraz liczyła się każda sekunda, bo skoro nie zważając na ogromne ryzyko, sprowadzano trupa tutaj, do zamku, miała pewność co do

jednego: okoliczności śmierci były poważne lub denat należał do wyższych sfer.

Rozejrzała się szybko po swojej samotni i próbowała w kilka sekund podjąć decyzję. Skoro czas odgrywał kluczową rolę, nie pozostało jej nic innego, jak skorzystać ze stołu znajdującego się na środku pomieszczenia. Pełna rezygnacji zdjęła z blatu sztuce oraz półmisek wypełniony ciepłym jeszcze jedzeniem. Poza tym nic więcej na nim nie stało, wszak przydawał się niejednokrotnie w takich sytuacjach. W jej fachu nie było miejsca na przesadną estetykę, więc nie raz i nie dwa musiała właśnie na nim dokonać ostatecznych oględzin, nie mając czasu przenosić obiektu badań do stworzonej do tego celu sali. Nie zmieniało to faktu, że za tym nie przepadała – jadalnia i trupiarnia w jednym. Niestety przyzwyczaiła się do myśli, że równie dobrze mogłaby stawiać obiad na trumnie.

*Przecież już nie używamy trumien, zganiła samą siebie.*

Jeszcze zanim kroki rozległy się przed drzwiami, przyszykowała poplamioną płachtę materiału i wyciągnęła narzędzia z szafki pod ścianą. Rozłożyła prześcieradło na śliskim zimnym blacie, a na nim swoje zawodowe gadżety, starając się zapamiętać ich rozstawienie – w pośpiechu nie będzie czasu na szukanie odpowiedniego.

Kiedy drzwi otworzyły się z impetem, stała już gotowa, ze skalpelem w ręce – zabawa praktycznie zawsze zaczynała się od niego. Od razu wskazała strażnikom stanowisko obiadowo-sekcyjne i zrobiła dwa kroki do tyłu.

Trzech potężnie zbudowanych mężczyzn szybko weszło do wnętrza i bez większej delikatności rzuciło zwłoki na stół. Echo uderzenia rozniosło się po ścianach pomieszczenia i ugrzęzło gdzieś pod sufitem. Dopiero teraz dotarło do Veriny, w jak obrzydliwym stanie było ciało – koszmarny zapach wypełnił salkę, utrudniając oddychanie, lepiąc się wręcz do ciał osób żyjących. Jakby śmierć próbowała za wszelką cenę pochłonąć wszystkich dookoła, zaznaczyć, przypomnieć o swojej nieuchronności i konsekwencji nadejścia. A to ostatnie było naprawdę nieciekawe.

Kobieta szybkim gestem poprawiła opadające na oczy ciemne włosy, potem ruchem uzbrojonej w narzędzie chirurgiczne ręki nakazała przybyłym się cofnąć. Skwapliwie wykonali rozkaz, ale odsunęli się tylko na parę kroków – wiedzieli, że najgorsze dopiero przed nimi.

Stojący najbliżej mężczyzna podszedł do niewielkich drzwiczek wbudowanych w jedną ze ścian i otworzył je za pomocą wiszącego obok pręta. Ze środka buchnął żar, potęgując koszmarną duchotę panującą dookoła. Smród potu walczył o prym z odorem zgnilizny, a trzeba dodać, że walka była zacięta.

– Jesteśmy gotowi – oznajmił, choć mógł to sobie darować. Wszyscy znali swoje role.

– Więc mówcie – poleciła Verina.

Podeszła do zwłok i krytycznie im się przyjrzała. Pomimo mocnego rozkładu od razu zauważyła, że był to mężczyzna w średnim wieku. Z pewnością ktoś zamożny, świadczyły

o tym zdrowe i całe zęby oraz zadbane paznokcie. Chociaż to ostatnie... Pochyliła się nad ręką denata w tym samym momencie, gdy odezwał się któryś ze strażników.

– Znaleźliśmy go w jednej z bocznych ulic. Zniknął przed kilkoma dniami, ale jego ojciec wszczął poszukiwania dopiero wczoraj, bo wiedział, że syn bezustannie wymykał się do domu uciech.

– A kim jest jego ojciec? – zapytała, nie przerywając oględzin.

Zanim usłyszała odpowiedź, sięgnęła po pęsetę i wyciągnęła spod paznokci ofiary drobinki ziemi. Nie traciła czasu na analizowanie, tylko szybko umieściła je w małym słoiku.

– To hrabia DeMontage.

Zagwizdała pod nosem.

– Jeden z najbogatszych ludzi w mieście. A jego syn ot tak wychodził na dziwki?

Strażnik odchrząknął zakłopotany. Nikt nie lubił poruszać tego tematu w obecności miejskiej wiedźmy – znana była z nienawiści do wspomnianej profesji, jakby traktowała tę formę zarobkowania jako ujmę dla całej żeńskiej płci.

– Miał gorącą krew, która w tym wieku dawała się mocno we znaki. Łatwiej było przymknąć oko na niektóre... hm... eskapady, niż znosić go zmierzonego na dworze. Poza tym nocne wyjścia wydawały się mniej kłopotliwe od ukrywania brzemiennych służek, a tak by się to pewnie skończyło.

Verina popatrzyła ze złośliwym błyskiem w oku na mówiącego to mężczyznę. Ten jednak nie zląkł się jej spoj-

rzenia, wręcz przeciwnie – uśmiechnął się szeroko, jakby tym stwierdzeniem zdobył u niej punkty uznania.

– Kiedyś skażą cię za zbyt szczere wypowiedzi – burknęła przez zaciśnięte zęby, ale w jej głosie można było wychwycić rozbawienie.

Rejnar, dowódca strażników, parsknął z zadowoleniem, lecz nie powiedział nic więcej. Zresztą i tak by go nie słuchała, bo całą uwagę skupiła ponownie na eksponacie leżącym na stole.

Na szyi denata widniała paskudna, głęboka rana, dość charakterystyczna, co oznaczało, że do uduszenia nieszczęśnika z pewnością użyto sznura – śmierć niezbyt miła, w sumie jak każda. Niemniej to odgadłby pierwszy lepszy stróż prawa, jej zadanie było zgoła odmienne. Musiała znaleźć ślady, które doprowadzą do sprawcy.

Już na początku odłożyła skalpel, bo na szczęście akurat w tym przypadku nie musiała go używać. To dobrze. Nie lubiła rozcinać zwłok, które lada chwila mogły ich wszystkich pozabijać. Zamiast tego znów wzięła pęsetę, wyciągnęła z zagłębienia na gardle kilka nitek i włożyła je skrupulatnie do innego słoiczka, by później dokładnie wszystko posprawdzać.

– Pewnie miał wielu wrogów, nawet w naszym mieście – rzuciła. Trudno było zgadnąć, czy pytała, czy stwierdzała fakt, dlatego stojący obok niej strażnicy tylko potaknęli.

Skupiona na pracy, przestała odczuwać ulatniający się smród. Szybkimi, sprawnymi ruchami przebadala zwłoki, pobrała dodatkowe próbki i już po chwili miała wszystko, czego potrzebowała.

– Dobra, wrzucajcie.

Na twarzach mężczyzn odbił się wyraz ulgi, ale momentalnie spoważniali: bez zbędnych pytań chwycili związające z blatu rogi płótna i niedbale zawinęli trupa. Wciąż trzymając za materiał, dźwignęli ciężkie, coraz bardziej napuchnięte ciało i wsunęli je do wcześniej otwartego zsypu.

Ze środka buchnęły płomienie. Niemal dotarły do drzwiczek, przez co w pomieszczeniu zrobiło się jeszcze goręcej. Verina poczuła lekki zawrót głowy i dyskretnie przytrzymała się skraju stołu. Gdyby tego nie zrobiła, najprawdopodobniej upadłaby w obecności strażników, a to mocno nadszargałoby jej reputację. Na szczęście mężczyźni nie zwracali na nią uwagi, bo spojrzenia wciąż mieli skierowane w stronę otworu, w którym właśnie zniknęły zwłoki. Zdawali sobie sprawę, że wrzucili je tam praktycznie w ostatniej chwili. Jeszcze moment i...

Kobieta nadal trzymała się blatu, żeby nie stracić równowagi. *To zapewne przez duchotę, smród i nerwy*, pomyślała, choć wiedziała, że tylko się oszukuje. Coś było nie tak, ale lęk przed rychłym końcem nie pozwalał jej poszukać w sobie przyczyny. Nieustanne obcowanie ze śmiercią to jedno, tymczasem bezpośredni w niej udział to drugie. A niewiedza jest darem, który tak łatwo stracić.

Przymknęła powieki i się skupiła – zawroty ustały tak szybko, jak się pojawiły, jednak jej krótką niedyspozycję zdążył dostrzec dowódca strażników. Wpatrywał się w nią z wyraźnym zmartwieniem. Uśmiechnęła się do niego



ukradkiem, po czym prędko odzyskała zwykłą obojętność i wyższość, z czego słynęły miejskie wiedźmy.

– Możecie iść, za kilka godzin wróćcie po raport.

Zgromadzeni najwyraźniej poczuli się lżej po tych słowach. Skinęli głowami i ruszyli ku całej czas otwartym drzwiom. Wiedzieli, że nie będą musieli się męczyć, bo ich dowódca wróci tu sam. Straż aż huczała od plotek związanych z nim i wiedźmą. Nikt natomiast nie zapytał wprost, nikt nie ośmielił się nawet zająknąć na ten temat w jego obecności – nie wiadomo, kogo bano się bardziej: potężnego Rejnara, od którego decyzji zależały losy mieszkańców, czy Veriny, której sensem życia była śmierć.

\* \* \*

Tym razem najpierw usłyszała kroki – spokojne, nieśpieszne, aczkolwiek stanowcze. Odruchowo poprawiła włosy. Spojrzała w lusterko, aby się upewnić, że wygląda, jak należy, a jednocześnie jakby nie przygotowywała się na to spotkanie od co najmniej kilkudziesięciu minut.

Wiedziała, że przyjdzie. Nie była przesadnie próżna czy zadufana w sobie, ale miała świadomość swojej atrakcyjności. Gdyby nie profesja, którą się zajmowała, z pewnością nie mogłaby się odgonić od adoratorów. Niestety przez nią musiał starczyć jej ten jeden. Najważniejsze, że w tym przypadku jakość przewyciężyła nad ilością.

Kroki zatrzymały się za drzwiami – pod nimi przesączył się delikatny zapach męskich perfum: subtelny, lecz zmysłowy, tak inny od paskudnej woni zmarłych. Od razu sprawił, że Verina porzuciła negatywne myśli, a nadal wiszący w powietrzu fetor zgnilizny stał się bardziej akceptowalny.

Jak tylko Rejnar stanął w progu, wciągnęła go do środka. Widziała w jego spojrzeniu niezadane jeszcze pytanie o powód jej wcześniejszego złego samopoczucia. Pragnął wiedzieć, co się z nią działo, ale ona nie chciała na to odpowiadać nawet samej sobie, a co dopiero jemu. Nim dowódca zdążył się odezwać, przysunęła się bliżej, po czym wpiła się w jego wargi swoimi, wtedy on objął jej szczupłą talię i bez większego wysiłku uniósł nad podłogą.

Mężczyzna niedbale trącił nogą drzwi, a następnie zrobił kilka kroków do przodu i posadził kobietę na twardym blacie. Było w tym coś groteskowego – dopiero co na stole leżał denat, a teraz miał posłużyć jako podstawa namiętności. Kiedy dowódca pośpiesznie zdzierał szaty z Veriny, ta poczuła na plecach ciepło bijące od drzwiczek w ścianie i uśmiechnęła się lubieżnie.

Po raz ostatni zlustrowała powierzchnię, na której siedziała. Na szczęście tym razem dokładnie wyczyściła resztki krwi po zwłokach, bo poprzednio kochanek strasznie się o to czepiał. Potem przestała rozmyślać nad wystrojem wnętrza i skupiła się wyłącznie na amatorach.

Gdy Rejnar zajmował się całowaniem jej szyi, zacisnęła dłoń na jego koszuli i nie przejmując się konwenansami,

mocno za nią szarpnęła. Guziki posypały się na posadzkę, a materiał rozdarł w paru miejscach, dzięki czemu Verina mogła wreszcie dobrać się do nagiej skóry.

Umięśniona pierś dowódcy unosiła się i opadała pod wpływem głębokich oddechów. Przytłumione światło świec sprawiało, że walory partnera wydawały się kobiecie jeszcze bardziej imponujące niż zazwyczaj. Przycisnęła wargi do jego ciała, aby zacząć wędrówkę. Sunąc językiem w dół, dotarła do wyrzeźbionego brzucha. Zostawiła tam kilka całusów, a kiedy chciała złapać za pasek w spodniach, które z pewnością podzieliłyby los koszuli, mężczyzna ją powstrzymał.

– Jeśli będę musiał stąd wyjść z gołym tyłkiem, nie damy rady dłużej zaprzeczać plotkom. Opanuj się – powiedział. Próbował brzmieć groźnie, by poczuła się skarcona, ale ona tylko zachichotała.

Pokręcił głową, zachwycony jej niecierpliwością. Sam miał ochotę pominąć grę wstępną, jednak za bardzo cenił sobie ich wspólne chwile. Uwielbiał czuć na ustach smak Veriny i pachnieć nią do rana, więc zanim ponownie spróbowała pozbawić go ubrań, zareagował pierwszy. Podwinął długą suknię kochanki, następnie głośno wciągnął powietrze, gdy odkrył, że dziś nie założyła bielizny. To zadziało na niego jak magnes. Nie minęła sekunda, a już przywarł wargami do wewnętrznej strony ud, by zaraz zawędrować znacznie wyżej, ku spragnionej pieszczot łechtaczce.

Zgłębiał każdy milimetr ciała Veriny, upajając się jej rozkosznymi jękami. Kiedy do języka dołączyły jego palce,

kobieta musiała mocno zacisnąć dłonie na brzegu blatu, aby utrzymać równowagę. Rejnar rozpalał ją do czerwoności coraz śmielszym dotykiem, podczas gdy ona cicho szeptała słowa starego zaklęcia. W świecie pozbawionym magii było beużyteczne, ale gdyby wróciły dawne czasy, mężczyzna właśnie sięgałby gwiazd razem z nią.

Przez moment odnosiła wrażenie, jakby czar naprawdę zadziałał, kiedy dowódca nagle przerwał rubaszne zabiegi i spojrział na nią z szaleńczym pożądanien. Szybkim ruchem zsunął z siebie spodnie, po czym wypełnił ją twardą męskością. Krzyknęli oboje.

Podniecenie było zbyt wielkie, prawie nie do okiełznanania, powietrze zaś niemalże lepkie od ich urywanych oddechów. Gdy tylko kochankowie odnaleźli wspólny rytm, zatracili się w sobie do reszty. Zawsze tak na siebie działali. Jak dwie zbłąkane dusze, które odnajdywały się na krańcu świata.

Dotarli na szczyt praktycznie w tej samej chwili, odu-rzeni wzajemną bliskością i spowici ledwie wyczuwalnym okrucnem zapomnianej magii. Potem zaczęli zabawę od nowa. Rozstali się dopiero nad ranem, kończąc schadzke żarliwym pocałunkiem, jakby byli w sobie zakochani. Jeżeli jednak spotkają się gdzieś przypadkiem na mieście, nikt nawet nie zauważy, że łączy ich cokolwiek poza służbowymi obowiązkami. Taki układ w zupełności im wystarczał, bo oboje pełnili zbyt ważne funkcje, by afiszować się miłością. Ta oznaczała słabość, na którą żadne z nich nie zamierzało sobie pozwolić.

# ROZDZIAŁ 2



Kat stał pośrodku podwyższenia i trzymał w potężnych dłoniach stylisko topora. Gawieź zgromadzona dookoła rynku szeptała pomiędzy sobą, podniecona nadchodzącą egzekucją.

Słońce powoli zachodziło, rzucając lekko pomarańczowy blask na otoczenie. W tym świetle cała centralna część okolicy była nad wyraz widoczna. Na pierwszym planie znajdowała się okazała siedziba ojców założycieli, z rzeźbionymi okiennicami, mosiężnymi klamkami oraz masą innego dobrodziejstwa. Na prawo mieściła się apteka, za nią piekarnia, na lewo zaś kościół, gdzie podczas mszy zbierała się śmietanka towarzyska i możni tego miasta. Dalej stały

domostwa najbogatszych z zamkiem królewskim na czele, w głębi chaty klasy średniej, a później już tylko skrajnego ubóstwa, które stanowiło największy procent społeczeństwa.

Po drugiej stronie, za plecami czekających na przedstawienie mieszkańców, usytuowana była pracownia felczera, sklepy, karczma oraz wysoka budowla ratusza. To właśnie tutaj obradowali radni, urzędował burmistrz i sędzia wydający wyroki za nawet najmniejsze przewinienia. Tu też składowano archiwa czy różne istotne dokumenty, z kolei w podziemiach kryła się ciemnia z izbą tortur. Stąd strażnicy wywozili więźnia, aby ostatecznie wykonać wyrok na wspomnianym wcześniej podwyższeniu lub przywiązać go do stojącego kawałek dalej pręgierza, dziś niestety nieobsadzonego żadnym rzezimieszkiem.

Promienie słońca oświetlały leżące na ziemi nadpsute resztki jedzenia, walające się tu i ówdzie odchody – niekoniecznie zwierzęce – czy płynące wąskimi kanałami pomyje, lecz teraz nikt nie zwracał na to uwagi. Blask zza horyzontu bowiem padał w tej chwili pod idealnym kątem, nadając widowisku specyficzny klimat. A było na co popatrzeć, jak zawsze zresztą.

Na dźwięk rogu podniecony tłum rozstał się, by zrobić miejsce dla powoli wjeżdżającego wózka z przymocowaną doń solidną klatką. Klęcząca w niej kobieta z pewnością była kiedyś atrakcyjna, jednak dwa dni w podmiejskich lochach zmieniły to i owo, a nawet więcej. Z pewnością osoby odpowiedzialne za przesłuchanie nie należały do

wąskiego grona dżentelmenów – całe ciało nieszczęśniczki znaczyły świeże, krwawiące rany. Rozczochrane, pozlepiane posoką włosy okalały spuchniętą, zmasakrowaną twarz, natomiast zmiążdżone wargi nie zasłaniały dziur po świeżo i brutalnie wyrwanych zębach.

Kobieta była naga, jak na ladacznicę przystało, aczkolwiek tym razem żadne męskie spojrzenie nie zatrzymało się na niej z czysto pożądlivych powodów, wręcz przeciwnie – pogarda to najmilsze z uczuć, którymi aktualnie ją darzono. Ona raczej nie zdawała sobie z tego sprawy, bo ból zadawany jej raz po raz przez strażników już dawno zamknął umysł we własnym obrębie. Jedyne i ostatnie bodźce, jakie do niej docierały, przynosiły wyłącznie kolejne dawki cierpienia. Niemniej powiedziała, co chcieli usłyszeć, więc nadszedł koniec męki.

Wózek wiozący klatkę ze skazaną zaskrzypiał, potem zatrzymał się przy podwyższeniu. Pomocnicy kata otworzyli kratę, siłą dźwignęli z maltretowaną kobietę z klęczek i powlekli na miejsce kaźni. Dziwka bez oporu dała się poprowadzić do oprawcy – ten spojrzał na nią beznamiętnie przez otwory w masce i skinął głową. Szybko i brutalnie została na powrót sprowadzona do pozycji klęczącej, a jej głowa spoczęła na specjalnym gniotku. Pień już dawno przestał przypominać wycięty fragment drzewa. Zbyt często jego bokami spływała krew nędzników, przez co ztracił naturalny kolor na rzecz rdzawego odcienia.

Kat triumfalnie podniósł topór i rozejrzał się, wypinając pierś. Gdyby nie ogromne brzuszysko wypływające spod niedbale wciśniętej w spodnie koszuli, wyglądałby jak sam zwiastun śmierci. Tłum zaszumiał zadowolony – mieli przed sobą kolejny przykład sprawiedliwości, tak potrzebnej człowiekowi w tym niesprawiedliwym świecie. Nie miało znaczenia, jak bardzo brutalna czy bezwzględna ona jest. Liczył się efekt, czyli usunięcie chorej tkanki społeczeństwa.

Verina wiedziała, że tak naprawdę cieszyli się z czegoś innego – śmierć wisi nad człowiekiem od dnia jego narodzin. Straszy, nęka, przypomina o sobie podczas każdej choroby albo słabości ciała, lecz kiedy dotyka kogoś obcego, lub nawet bardzo bliskiego, to na moment daje poczucie nieśmiertelności. Umarł ktoś inny, widziałem to na własne oczy, kostucha jest zajęta, a ja chwilowo bezpieczny.

Miejska wiedźma odwróciła się, zupełnie nie mając ochoty na oglądanie finału tego widowiska. Zaskoczona zrobiła krok w tył, gdy naraz znalazła się twarzą w twarz z kochankiem. Na ułamek sekundy zaparło jej dech i poczuła uderzenie gorąca na wspomnienie jego umięśnionego ciała, ukrytego teraz pod oficjalnym mundurem. W mig się opamiętała, choć dostrzegła, że i on z trudem udawał obojętność.

– Dzień dobry – powiedział służbowym tonem dowódca straży. – W imieniu miasta chciałbym podziękować za szybkie rozwiązanie sprawy.



Spojrzała na niego, ale wiedziała, że nie może liczyć na żadne cieplejsze słowa, w końcu ich romans był tajemnicą. Wszyscy podejrzewali swoje, co nie zmieniało faktu, że woleli nie okazywać publicznie uczuć. Dowódca straży i miejska wiedźma. Związek jak z jakiejś koszmarnej bajki.

– Nie trzeba, to moja praca – odparła zwięźle. – Powiedz mi lepiej, czy udało się wyciągnąć z tej kobiety wszystkie potrzebne informacje?

– Tak, chociaż na początku mocno się opierała. Co zrobić, tak już bywa z niewiastami. Gadają jak najęte bez przerwy, ale jeśli mają się do czegoś przyznać, milczą jak grób. – Uśmiechnął się nagle, jakby rozbawiły go własne myśli. – Może by tak plotkarstwo potraktować jako zbrodnię? Wtedy paplałyby mniej, ku uldze męskich uszu.

Miała ochotę odciąć się na ten grubiański komentarz. Mimo wszystko nie potrafiła się złościć na Rejnara, wszak wiedziała, że taki już jego styl bycia – zabawny, zdrowo dawkowany seksizm w jakiś sposób ją pociągał.

*Jaka ja muszę być porąbana, pomyślała.*

– Tak między nami – przysunęła się bliżej – zaatakowała w afekcie, jako odrzucona kochanka, czy ktoś zlecił jej to zabójstwo? – zapytała, bo choć ślady na ofierze szybko doprowadziły ją do sprawczyni, miała przeczucie, że coś tu nie pasowało.

Odnosiła wrażenie, że brał w tym udział ktoś jeszcze, ale nie wspomniała o tym w raporcie, a już tym bardziej nie zamierzała dzielić się wnioskami z dowódcą strażników. Od

jakiegoś czasu nawiedzały ją dziwne myśli, natomiast zaśląbnięcie po sekcji musiało mieć jakieś istotne wytłumaczenie.

– Działała na zlecenie konkurencyjnego rodu. Chociaż w dalszym ciągu nie potrafię tego pojąć. Każda śmierć nie-  
sie za sobą ogromne ryzyko. Wystarczy kilka dni, by roz-  
kładające się zwłoki wypuściły truciznę, zabijając wszystko  
dookoła. Ludzie powinni w takiej sytuacji doceniać życie,  
a wykorzystują to do swoich celów. I mają nadzieję, że nikt  
nie odkryje ich zbrodni przed upływem tych paru dób.

– Gdyby było inaczej, nie miałabym pracy.

Spojrzał na nią i w jego oczach odbiło się rozbawienie. Pewnie powiedziałby coś w swoim stylu, lecz stojący obok strażnicy patrzyli w ich stronę, marząc o zdobyciu kolej-  
nych powodów do plotkowania podczas nudnych, rutyno-  
wych patroli.

– Mogłabyś zająć się czymś bardziej wzniosłym, ale...  
Cóż, każdy z nas ma swoje misje i zadania, w których naj-  
lepiej się odnajduje.

Verina już nic nie powiedziała. Uśmiechnęła się tylko, kiwnęła głową do pozostałych strażników i odprowadzana rozbawionymi spojrzeniami, ruszyła w kierunku fortu. Za plecami usłyszała radosną wrzawę, co znaczyło, że egzeku-  
cja dotarła do punktu kulminacyjnego.

– Znowu śmierć – wyszeptwała, czując przebiegające po całym ciele zimne dreszcze.

Gdy zaczęła wspinać się po schodach, w jej uszach nadal rozbrzmiewała radość tłumu z powodu tragedii jed-

nostki. Dzisiaj przyglądali się egzekucji ladacznicy, jutro pożegnają sąsiada, ukochanego albo kogoś z rodziny, a świat pozostanie niezmienny. Jedno było pewne: przeznaczenia nie da się oszukać.

\* \* \*

To była największa zagadka współczesnych czasów – co zmieniło się w samej śmierci, że jedna pociągała ze sobą drugą.

Działo się tak, odkąd Verina sięgała pamięcią. Nikt nie wiedział, jaka była tego przyczyna ani kiedy to się skończy. W ciągu kilku dni od momentu zatrzymania akcji serca każdego człowieka jego ciało stawało się niebezpieczne. Zatrzymująca się w żyłach krew praktycznie od razu zaczynała gnić, zmieniając zwłoki w biologiczną bombę. Zdziesiątkowało to ludzkość, jednak w porę znaleziono sposób na walkę z tym przekleństwem – ogień.

Niestety po spaleniu szczątki nic nie mogły przekazać, nie da się wszak czytać z popiołów. A niejednokrotnie dokładne poznanie przyczyny śmierci okazywało się kluczowe w odnalezieniu winowajcy. Dlatego kobieta tak bardzo nie lubiła nagłych wypadków, w których przynoszono jej denata po upływie jakiegoś czasu. Tak łatwo w pośpiechu popełnić błąd, wyciągnąć fałszywe wnioski, a co za tym idzie, obarczyć odpowiedzialnością nie tych, co trzeba.

Na szczęście poprzednia sprawa była oczywista i stosunkowo prosta. W każdym razie jeśli chodziło o bezpośredniego sprawcę.

Verina z zamyśleniem spojrzała na znajdujące się w ścianie drzwiczki. To tam lądowali wszyscy jej klienci – zanim rozkład ulotni z ich ciała niebezpieczny gaz.

Nagle znowu poczuła zawroty głowy. Coś zaczęło ją dusić w środku, gnieść, nie pozwalając zaczerpnąć powietrza. Przez chwilę jej oczy zaszyły krwistą mgłą, jakby znalazła się głęboko w czeluściach piekła. Trwało to trochę dłużej niż zwykle, ale i tak szybko odpuściło.

*Oj, nie jest dobrze*, pomyślała. Na dodatek spędzi wieczór w samotności, bo jej kochanek miał nocną wartę na ulicach miasta.

Zerknęła na stojące w rogu lustro, próbując skupić się na czymś innym niż pesymizm. Odbicie pokazywało bardzo atrakcyjną, dwudziestoletnią kobietę o długich, ciemnych włosach. Miała zadbaną, ponętą figurę, obfite piersi i jasną karnację, choć w tym momencie jej skóra była bardziej blada niż zwykle.

Verina nie potrafiła się skupić. Stan, który utrzymywał się w niej od wielu dni, nie pozwalał jej odwrócić myśli – czuła, jak te znowu płyną w złym kierunku.

Ruszyła w stronę łóżka – jeśli będzie miała szczęście, tej nocy nikt nie zginie, a ona porządnie odpocznie. Może i dobrze, że spędzi ją sama, bo osłabiony organizm potrzebuje regeneracji oraz sił do dalszej walki, tymczasem przy

mężczyźnie mogłoby się to nie udać. Kiedy przyłożyła głowę do poduszki, sen od razu przykrył wszelkie myśli i wątpliwości. Może wreszcie prześpi się w spokoju do rana.

Mogłaby, ale dziś zginął ktoś, kto nie powinien. Albo raczej ktoś, kogo zwłoki nigdy nie powinny trafić do Veriny. Może wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej...

Niestety nikt nie mógł tego przewidzieć, zwłaszcza kochanek niosący właśnie do niej nowe ciało.

\* \* \*

Pod osłoną nocy, gdy mieszkańcy spali, zło przybywało w odwiedzinach. Wlewało się w każdy zakamarek, zapuszczając korzenie. Wodziło dobrych ludzi na pokuszenie, namawiało do zbrodni, psuło, niszczyło i nie brało jeńców. Dlaczego tak się działo? To pytanie zadawano sobie od dawna. Czy to kwestia słabej psychiki? Pradawnej magii? A może jej braku? Czy gdyby czary powróciły, naprawiłyby świat, czy tylko pogorszyłyby i tak już skrajnie koszmarną sytuację?

Rejnar pokręcił głową. Sam nie wiedział, skąd nagle brały się u niego takie myśli. Zamiast skupić się na zadaniu, dumął nad sensem egzystencji oraz kuglarskich sztuczkach. Tymczasem wystarczyło, że ledwie na moment odwrócił wzrok od towarzyszy, a ci już się rozpraszali.

– Chłopaki! Wolniej, nie musicie aż tak gonić! – Próbował uspokoić podwładnych, którzy nerwowo, prawie truchtem, przemierzali się ulicą miasta, ciągnąc po bruku

materiał z ciałem. – Zaraz całą ją objecie! O, zobacz, prawie wypadła ręka. Weźcie się w garść, przecież niewiele będzie się dało wywnioskować, jeśli przyniesiemy wiedźmie zawiniętą mielonkę!

Tamci zwolnili, jednak nie upłynęła dłuższa chwila, a ich kroki ponownie przyspieszyły. Denatka znowu zaczęła uderzać o kostki brukowe – echo tych dźwięków wybijało się wśród nocnej ciszy.

Księżyc świecił wyjątkowo jasno, co z jednej strony było ogromnym plusem, ponieważ nie musieli przyświecać sobie drogi pochodniami, ale z drugiej... krwawy zacieki, ciągnący się za ich pakunkiem niczym ślad po jakimś pełzającym, obślizgłym stworze, napawał przerażeniem. I jeszcze cała ta otoczka.

Nie dziwił się podwładnym, że zrobili się tacy nerwowi, sam ledwo utrzymywał emocje na wodzy. Tak po prawdzie nie wiedział, czy jest bardziej wściekły, czy przerażony.

Nieznajoma, której ciało właśnie ciągnęli, z pewnością była wiedźmą, co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Zbyt często obcował z Veriną, żeby nie poznać jednej z nich. Tak jakby ciągły kontakt ze śmiercią w jakiś sposób je naznaczał. Nasuwało się natomiast pytanie, z jakiego miasta przyjechała i dlaczego nigdzie tego nie zgłosiła?

Król już dawno zdecydował, na jakich zasadach miały działać osoby parające się tą mroczną profesją. Nie chciał zadzierać z Zakonem, a jednocześnie robić sobie wrogów z tych kobiet, więc ustalił kilka najważniejszych kwestii.

Kodeks jasno mówił, że trwał całkowity zakaz rzucania klątw, nawet jeśli teoretycznie i tak było to niemożliwe z powodu braku magii. Czarownice nie mogły urządzać tajnych zgromadzeń ani izolować się od społeczeństwa. Musiały informować o swoim przybyciu do miasta, jak również o jego opuszczeniu. Na razie władcy udawało się utrzymać rozejm: członkowie organizacji patrzyli na ręce wiedźmom, niemniej nie mogli wchodzić z nimi w bezpośrednią interakcję – obserwowali z boku, z ukrycia. One z kolei mocno pilnowały, aby żaden cień nie padł na ich opinię, dlatego od razu zgłaszały wszelkie dalsze podróże.

W każdym razie tak brzmiała teoria. Tyle że w teorii to nawet komunizm się sprawdzał...

Ta wiedźma z jakiegoś powodu nie zastosowała się do wytycznych, ale nie to było teraz istotne. Największą zagwozdkę stanowił fakt, że ktoś bestialsko ją zamordował na tym terenie, do tego Rejnar znalazł przy niej list zaadresowany do swojej kochanki. Zmięty, zakrwawiony, lecz nieotwarty wręcz parzył w kieszeni, jakby słowa, które w nim zawarto, były dużo gorsze od widoku zmasakrowanej autorki. Wiedział, że powinien go otworzyć, przeczytać, potem zaplombować – potrzebował tego do raportu. Jednak nie mieli czasu do stracenia, a ostatnią rzeczą, na jaką mógł sobie pozwolić, to zostać zdemaskowanym. Trudno, znajdzie sposób na przeczytanie wiadomości później.

Dowódca zerknął na swoich ludzi – z ich oczu bił strach pomieszany z niepewnością. Denatkę znaleźli w najgorszej

dzielnicy i to właściwie przez przypadek, bo najwyraźniej ich kroki przstraszyły sprawcę. Kimkolwiek był, czmychnął w ciemne zakamarki, przez co nie zdążył dokładnie przykryć ciała walającymi się w zaułku śmieciami. Gdyby nie to, o kolejnej śmierci dowiedzieliby się dopiero rano, kiedy za pracę wzięliby się okoliczni poszukiwacze, którzy codziennie przetrząsali wszelkie zakątki w celu znalezienia zwłok.

*To dopiero niewdzięczna fucha*, pomyślał. Natomiast musiał to ktoś robić, żeby uniknąć skażenia w samym mieście. Może i mało wyrafinowany sposób, ale działał. Poszukiwaczy było tutaj więcej niż strażników, a ich patrole dokładniejsze.

– Kurwa – zaklął szpetnie jeden z mężczyzn, gdy skrawek nasączonego krwią materiału wysunął mu się z dłoni. W kompletnej ciszy rozległ się nieprzyjemny dźwięk, jakby jakiś lekko nadpsuty owoc upadł na bruk. A to po prostu zawinięta, zmasakrowana głowa zderzyła się chodnikiem.

– Uważaj, do cholery – wycedził dowódca, mimo to nie forsował zbyt. Sytuacja była już zbyt napięta. Każdy tu obecny chciał jak najszybciej dowlec zwłoki do Veriny, zanim te ich pozabijają.

– Wybacz, szefie. – Winowajca dźwignął swoją część pakunku i ruszyli dalej, nie odzywając się do siebie. Wszystkich męczyło pytanie: Po co ktoś miałby zabijać wiedźmę? No i kto był w stanie to zrobić? Przecież te baby są twarde niczym stal.



# ROZDZIAŁ 3



Świat przygniatał Verinę ze wszystkich stron. Czowała, jak niewidoczne w ciemności cienie napierają i napierają, powoli miażdżąc kości. Jakby każdy mięsień został już zerwany, każde ścięgno przecięte, a nieznana siła po prostu mielila szkielet.

Nie była w stanie się poruszyć. Jej ciało nagle utraciło taką możliwość – stało się martwą skorupą dla cierpiącej duszy. Mogła wyłącznie leżeć i pomału konać, wpatrzona w całkowity mrok.

*Nie tak to miało wyglądać...*

Naraz zauważyła jakieś światło, coś jakby czerwony, jaśniejący punkt. A nie, zaraz, były dwa: zwięzione, jeden

obok drugiego, pojawiły się tuż przy niej... Do diabła, to oczy – złe, wściekłe, aczkolwiek pożerające ją żywcem z wyrazem triumfu. Zdawało się, że samym tylko spojrzeniem są w stanie wyssać resztki jej odpływającej już jaźni.

Chciała krzyknąć rozpaczliwie, jednak nie potrafiła rozewrzeć warg. Czuła, jak gorycz przejmuje władzę nad umysłem. Wtem, zupełnie niespodziewanie, usłyszała z odległości hałas przypominający trzask otwieranych kopniakiem drzwi. Resztkami świadomości próbowała ucześcić się echa tego dźwięku, jakby to mogło ją uratować.

Dwa wściekłe ogniki cofnęły się i zniknęły, a coś zaczęło szarpać jej ciałem – odnosiła wrażenie, że połamane kości ocierają się o siebie, wydając upiorny chrzęst. Przecinały zaostrzonymi odłamkami resztki żywych tkanek i narządów w rytm piekielnej melodii, którą słyszała chyba tylko w wyobraźni...

– Wstawaj, szybko!

Ten głos... Znała go tak dobrze.

– Verino, co się dzieje? Cholera! Obudź się, wracaj!

To on, Rejnar.

Uniosła powieki i zobaczyła zatroskaną twarz dowódcy straży. Mężczyzna pochylał się nad nią, trzymając jej ramiona w żelaznym uścisku. Wspomnienia snu ulatywały, pozostało jedynie odrętwienie oraz wrażenie, że całe ciało kobiety składa się z reagujących na siebie cząsteczek.

– Już... wszystko dobrze... – wyszeptała.

Spróbowała go pocałować, lecz on odchylił głowę do tyłu, co na moment ją zaskoczyło. Zaraz zdała sobie sprawę, że nie są sami. Zganiła się w myślach za ten odruch, bo przecież z nich dwojga to ona była tą silniejszą. Dźwignęła się ciężko z łóżka i niepewnie stanęła. Nogi, mimo że całe drżały, dały radę ją utrzymać. Niestety jej chwila słabości nie umknęła uwadze strażników stojących za plecami przełożonego. Widziała w ich oczach nie tyle troskę, co... litość?

*Ja im dam litość*, pomyślała i zrobiła stanowczo pierwszy krok. Walcząc z zawrotami głowy, podeszła do stolika, by wypić duszkiem sporą ilość wody z dzbanka. Dopiero kiedy poczuła się pewniej, odwróciła się w stronę gości.

– Cóż to za nocne wizyty? – zapytała na wpół żartobliwie. – Troszkę was za dużo jak na jedną kobietę.

Mężczyźni spojrzeli po sobie zakłopotani. Przed nimi znowu stała tak dobrze znana im wiedźma, chociaż jeszcze przed paroma sekundami wyglądała, jakby...

– W sali obok czeka na ciebie kolejne ciało. – Rejnar szybko przeszedł do sedna. Taki już był. Gdy czuł się niepewnie, od razu walił prosto z mostu. – Ostrzegam jednak, może ci się to nie spodobać.

Verina nie skomentowała słów dowódcy, by nie okazać zbyt dużego zaciekawienia. Niewiele rzeczy mogło ją zszokować, więc faktycznie czuła zainteresowanie, ale wolała pozostać obojętna. Nie chciała psuć budowanej przez lata reputacji ostrej i niebezpiecznej twardzielki.

Zamiast się odezwać, machnęła ręką na strażników, żeby ci ruszyli do przyległego pomieszczenia, potem podażyła za nimi. Szykowała się na wszystko: makabryczne sceny, rozszarpane zwłoki, walające się wszędzie narządy wewnętrzne czy zapach tak intensywny, aż otepiający zmysły.

Wyobrażała sobie naprawdę sporo, lecz nic nie przygotowało jej na to, co rzeczywiście zobaczyła. Kiedy zgromadzeni zrobili przejście, aby mogła zacząć oględziny, omal nie zemdlała. Odniosła wrażenie, że kolana zaraz się pod nią ugną. Coś chwyciło ją za gardło, jak gdyby jakaś niewidzialna siła próbowała wydusić z niej życie. Zaniemówiła. Wiedziała, że musi szybko się opanować, inaczej któryś z kompanów zacznie zadawać niewygodne pytania, a tego z pewnością by teraz nie zniosła.

Odchrząknęła.

– Wyjdźcie – wykrztusiła wreszcie. Jej głos brzmiał dziwnie.

Mężczyźni jeszcze przez chwilę stali zgromadzeni wokół stołu, na którym leżało zmasakrowane ciało. Plusem targania kobiety przez pół miasta zawiniętej w płótno był fakt, że niedużo krwi pozostało w truchle. Nie ma nic gorszego niż ociekający posoką blat do sekcji – takie widoki pasowały bardziej do rzeźni niż gabinetu. Niestety istniały także minusy takiego sposobu transportu zwłok. Nieszczęśniczka wyglądała, jakby nie tylko pastwiło się nad nią stado wilków, ale też jakby spadła z dużej wysokości. Jednym zdaniem: nie prezentowała się najlepiej.

– Mam powtórzyć? – Wiedźma nawet nie zerknęła na towarzyszy. Po prostu nieobecny wzrokiem wpatrywała się w leżące na stole ciało. Czuła, jak emocje, zmęczenie oraz szok przejmują nad nią coraz większą kontrolę. Wiedziała, że to, co w niej siedzi, wyłącznie czeka na tego typu okazje.

Na szczęście strażnicy zareagowali bez ociągania: skinęli głowami i bez zbędnych słów ruszyli ku wyjściu. Ich dowódca zwlekał. Patrzył na Verinę, jakby chciał wyczytać z jej postawy niemą zgodę na...

– Ty również.

*Cholera*, pomyślał, ale nic nie powiedział, widząc wyraz twarzy kochanki. W pierwszym odruchu chciał podejść i choć przytulić ją na pożegnanie, jednak stwierdził, że nie jest to odpowiedni moment. W najlepszym przypadku narobi sobie wstydu w oddziale, gdy kobieta go przegoni, a w najgorszym... wolał nie myśleć. Zdawał sobie sprawę, że Verina potrafiła zachowywać się nieobliczalnie, kiedy nie panowała nad nerwami, dlatego odpuścił. Wręczył jej zapieczętowany list, na koniec niechętnie zrobił kilka kroków do tyłu i opuścił gabinet.

Jak tylko zamknęły się za nim drzwi, wiedźma przez parę minut stała nieruchomo w kompletnej ciszy. Czuła, jak coś ciągnie ją w niebyt. Zachwiała się i spróbowała złapać za blat, aby za wszelką cenę zachować kontakt z otoczeniem, po czym mimo wysiłku runęła nieprzytomna na podłogę.

Upiorny wzrok znowu się pojawił, ale tym razem zaledwie na chwilę, jakby nie mógł pozostać na dłużej. Cienie przemykały dookoła, przytłaczały, lecz nie były w stanie pastwić się nad Veriną, jak to ostatnio miały w zwyczaju. Chociaż z dnia na dzień robiło się coraz gorzej, a powroty do rzeczywistości stawały się znacznie trudniejsze, bardzo szybko odzyskała świadomość.

Otworzyła oczy, czując pod plecami chłód posadzki, następnie z zaskoczeniem stwierdziła, że może swobodnie się poruszać. Nie była odrętwiała ani nie miała zawrotów głowy, co zawsze następowało po wycieńczających koszmarach. Chyba powoli zaczynała sobie z nimi radzić, jednak wiedziała, że czekała ją jeszcze daleka droga, zanim przywróci snom normalność.

Otrząsnęła się i raptem po kilku uderzeniach serca stała już nad stołem, wpatrując się w to, co zostało z jej siostry. Krew buzowała w Verinie, złość usilnie próbowała przejąć kontrolę nad umysłem, a bezradność wyzerowała ją od środka. Wzięła głęboki wdech, by nad sobą zapanować, później drżącą ręką dotknęła okropnie pokiereszowanego policzka denatki tam, gdzie pozostało trochę całej skóry.

*Co tu robiłaś?*, zapytała w myślach, choć znała odpowiedź.

Siostra przysłała do niej – Verina domyśliła się tego po liście, który przekazał jej Rejnar. Miała nadzieję, że po przeczytaniu korespondencji wszystko się wyjaśni.

Nie zważywszy na chłód kamiennej podłogi, usiadła w rogu sali i wyciągnęła pismo z kieszeni. Przez chwilę obracała kopertę w dłoni, przyglądając się woskowej plombie. Była nienaruszona, co oznaczało, że wyłącznie ona pozna zawartość. Pomimo trawiącego ją żalu uśmiechnęła się delikatnie – zabrakło mu odwagi lub najzwyczajniej się przestraszył i oddał nietkniętą przesyłkę.

Faceci. Niby tacy twardzi i odważni, ale na swój sposób bojaźliwi. Nie wątpiła, że gdyby pod jej komnatą zjawiała się horda zbójów żądnych krwi lub – co gorsza – czci, dowódca strażników prędzej by zginął, niż pozwolił im wedrzeć się do środka. Tymczasem jeśli miałby zrobić coś, co ją rozwścieczy, woli zawalić całą misję, byle tylko tego uniknąć.

Verina pokręciła głową, by powrócić myślami do realizmu. Do miejsca, w którym siedziała, dotarł charakterystyczny zapach – delikatnie, jakby nieśmiało wdzierał się w jej nos, przypominając, że nie ma za dużo czasu. Jeśli chce porządnie zbadać ciało, musi się śpieszyć.

Westchnęła, przesunęła palcami po pieczęci i stanowczo, choć ostrożnie otworzyła wiadomość.

\* \* \*

Zwłoki coraz bardziej śmierdziały, ale wiedźma jeszcze nie była w stanie wrzucić ich do pieca i ot tak oddać we władanie ognia. Wiedziała, że to najwyższa pora, jednak starała się jak najbardziej odwlec moment, w którym ciało

siostry zostanie strawione przez płomień. Zwłaszcza że tym razem postarała się zrobić to inaczej.

Już dawno temu zrezygnowano z przygotowywania nieboszczyków do pochówku, bo takowy nie miałby szans się odbyć, lecz Verina czuła potrzebę, by odpowiednio zaopiekować się siostrą, nim wrzuci ją do spalenia. Dlatego teraz kobieta leżała przed nią pozszywana, umyta i w czystym ubraniu, jakby przyszykowana do odprawienia na tamten świat w starym stylu. Choć w wielu miejscach brakowało fragmentów skóry, na szczęście tkanina szczelnie to zasłaniała, a długie, kasztanowe pukle przykrywały większą część pokiereszowanej twarzy.

Verina odchyliła kosmyk włosów i pogładziła drżącą dłońią skomplikowany wzór znajdujący się za uchem siostry. Powoli blaknął w przeciwieństwie do tego, który sama posiadała i który od kilku dni znacznie bardziej się uaktywniał. Najwyraźniej jego moc, nawet jeśli częściowo powróciła, działała tylko na żywym organizmie.

Uniosła rękę i przejechała niepewnie opuszkami po takim samym znaku u siebie – poczuła pod palcami obcy, a zarazem dziwnie bliski fragment o nierównym kształcie. Symbol nie był wytatuowany, raczej głęboko wyryty i zrosnięty, z kolei blizny, wraz z pomarszczoną skórą, tworzyły tak wielowymiarową kompozycję, że nikomu nie udało się jej odwzorować.

Magia się odradzała, choć Verina przeczuwała to już wcześniej. Ignorowała przesłanki, nie chcąc robić sobie



wielkich nadziei, ale teraz miała ku temu niezbity dowód. Rozumiała też, dlaczego siostra nie zgłosiła przybycia do miasta. Wysłano ją tutaj w tajemnicy, żeby przekazała jej list zawierający zbyt ważną informację – nie chciano ryzykować oddelegowania do tego zwykłego posłańca. Szkoda, że ktoś dopadł biedaczkę, zanim zdążyły porozmawiać.

Wiedźma dumiała by tak jeszcze przez długi czas, jednak zdawała sobie sprawę, że fetor w pokoju wypełnił prawie każdy zakamarek wolnej przestrzeni. Uznała, że to ostatni moment, nim ciało na stole zamieni się w śmiertelną pułapkę. Westchnęła głęboko, po czym otworzyła drzwiczki do zsypu – od razu uderzyło ją gorąco nigdy niegaszonego, trawiącego wszystko ognia.

Westchnęła po raz ostatni, przymknęła powieki i wsunęła zwłoki do środka. Usiadła pod ścianą, czując, jak buchający za nią żar wręcz parzy w plecy. Nie zwracała na to uwagi, bo jej głowę zaprzętała tylko jedna myśl: wróg uderzył ponownie, a one nie były na to gotowe.

Musiała działać, i to natychmiast.

\* \* \*

Rejnar schodził krętymi schodami pewnym i spokojnym krokiem, jednak to, co działo się w jego sercu, dalekie było od takiego stanu. Przypuszczał, że ta chwila może nadjeść, ale gdzieś głęboko liczył na to, że nie nastąpi przez co najmniej kilka następnych lat.

Z początku nie potrafił skojarzyć faktów – dziwne stany Veriny, widok rozszarpanej kobiety, list oraz przerażony wzrok podlegających mu ludzi sparaliżowały logiczne myślenie, lecz teraz... Teraz zaczął żałować, że nie otworzył wiadomości, choć wzbudziłyby to niepotrzebne podejrzenia. W duchu zaklął na własną słabość. Od jakiegoś czasu łąpał się na tym, że Verina przestawała być dla niego czysto zawodowym obiektem zainteresowania. Musiał wziąć się w garść.

Przyspieszył kroku, a jego myśli pędziły jak oszalałe. W głowie nadal widział obraz zamordowanej wiedźmy. Znał takie obrażenia, kojarzył je, ale zanim podniesie alarm, musi się upewnić, że pamięć go nie zawodzi. Zwłaszcza że chodziło o wydarzenia sprzed bardzo dawna. Sam ich nie doświadczył, bo jeszcze się wtedy nie narodził, natomiast pokazywano mu takie rany na rysunkach podczas szkoleń.

Na dole schodów znajdowały się potężne drzwi prowadzące do miejskiego archiwum. Dowódca zeskoczył z ostatnich stopni i nie siląc się na subtelność, szarpnął za klamkę. Jak tylko przekroczył próg biblioteki, od razu uderzyła w niego woń starego papieru oraz gromadzącego się od lat kurzu.

Zatrzymał się i przez chwilę błędził wzrokiem po stojących wzdłuż ścian regałach. Szybko podjął decyzję i ruszył wzdłuż jednego z nich, taksując spojrzeniem półki. Zwolnił dopiero po kilkunastu krokach, pewny, że w tym miejscu namierzy to, czego szukał.

Z niecierpliwością przeglądał starannie ułożone rulony pergaminów, darując sobie odkładanie ich na miejsce. Na

podłodze lądował jeden za drugim, ale Rejnar nie przejął się tym zbytnio – gdzieś tutaj znajdzie odpowiedź na swoje pytania i nie ma czasu na finezję.

Nie mylił się. Gdy w końcu natrafił na poszukiwany zwitek, wycofał się i rozłożył go na stojącym pośrodku pomieszczenia stole. Wnętrze oświetlały pochodnie, dlatego nie potrzebował dodatkowego źródła światła – błyskawicznie zabrał się za czytanie.

Zmarszczył ciemne brwi. Gdyby ktoś przyglądał się tej scenie, z pewnością doceniłby kontrast: ogromny, umięśniony, pokryty bliznami brodacz przesuwając delikatnie palcami po cienkim, wysłużonym papierze. Jego oczy coraz bardziej się zwięzały, kiedy rozczytywał starannie wykaligrafowane zdania. Zdawało się, jakby treść mocno go alarmowała.

– Zaczęło się – wyszeptał. – Oto nadeszła chwila, dla której tak naprawdę żyłem.

Oderwał uwagę od lektury i zapatrzył się pustym wzrokiem w przestrzeń. Wewnętrzna powinność walczyła w nim z przywiązaniem do Veriny. Z jednej strony wiedział, że od teraz musi działać stanowczo, a łapał się na tym, że bardziej martwił się o nią.

Trwał tak przez moment, bijąc się z myślami, aż ostatecznie zerwał się z taboretu. Ten upadł z trzaskiem i zaburzył spokój tego miejsca. Zanim jednak echo rozbrzmiało do końca, Rejnar wybiegał już z archiwum. Gnał schodami, jakby goniły go demony, co zresztą niewiele mijало się z prawdą.

Kilkanaście minut później na dół zszedł jeden z bibliotekarzy. Na widok pozostawionego nieładu pokręcił z rezygnacją głową i westchnął.

– Cóż za bałaganiarze, nikt tu po sobie nie...

Zamilkł, gdy spojrzął na pergaminy. Na wierzchu leżał rysunek przedstawiający zgniłozielonego potwora rozszarpującego ciało jakiegoś nieszczęśnika. Jego zbliżona do człowieka postura napawała strachem, a sposób, w jaki obchodził się z ofiarą, wzbudzał podświadomy lęk.

Mężczyzna uniósł papier i spojrzął na umieszczony pod ilustracją tekst. Była to relacja jednego z kronikarzy, który opisywał spotkanie z bestią:

*Obserwowałem z ukrycia, jak monstrum pastwi się nad cierpiętnikiem. Człękokształtna maskara o ostrych niczym brzytwia pazurach rozszarpywała biedaka na strzępy. Krew tryskała na boki, łamane kości wydawały przerażające dźwięki, a bolesne wrzaski cichły, aż słychać było już wyłącznie warczenie stwora. Jeden z rycerzy stanął z nim do walki, potem podeszło jeszcze dwóch, ale pokonali go dopiero we czterech. Siła oraz szybkość, z jaką się poruszał, przewyższała nawet najdzielniejszego z mężów i...*

Bibliotekarz podskoczył nerwowo, kiedy coś stuknęło za regałami. Nikogo nie wypatrzył, mimo to odłożył zwitek na półkę i pospiesznie opuścił pomieszczenie. Choć wiedział, że to tylko stara, mocno przekłamana historyjka, tej nocy nie mógł zasnąć.

Tak się właśnie dzieje, gdy człowiek naogląda się głupot przed snem.

\* \* \*

Dowódca bezzwłocznie pobiegł do Veriny i wszedł do jej pomieszczeń, nie pukając do drzwi. Zdyszany zatrzymał się na środku sali, ale od razu zdał sobie sprawę, że się spóźnił. Bez większych nadziei zajrzał do pokoju sekcyjnego i tak, jak przypuszczał, nie zastał w nim kochanki.

Stół, na którym w nocy umieścili ciało zamordowanej, był pusty i pozostawiony w nieładzie. Powierzchnię szpeciły zacieki krwi, wszelkie narzędzia leżały porozrzucane po kątach, a drzwiczki do spalarni zostały niedomknięte. Wiedźma ewidentnie się spieszyła. To zły znak.

Zamierzał już się odwrócić, by sprawdzić sypialnię, kiedy dostrzegł, że na rogu gładkiego blatu znajdowała się kartka okraszona pismem Veriny. Szybko ją przeczytał, czując bolesne ukłucie – był to list pożegnalny. Kobieta nie napisała ani dlaczego, ani dokąd się udaje, po prostu przeprosiła, zapewniła o swojej miłości... i tyle.

– Kurwa – syknął Rejnar. Nie był sentymentalny, jednak te kilka pospiesznie nabazgranych zdań wydały mu się ogromnym niedopowiedzeniem. Może i nie tworzyli z Veriną tradycyjnej pary, nazwałby ich związek raczej gorącym romansem, lecz oczekiwał po tej relacji czegoś więcej niż oschłego „żegnaj”. Na wieść o tym, że już nie ujrzy pięknej

twarży partnerki, nie ucałuje jej pełnych warg ani nie posiada idealnego ciała, czuł dziwną pustkę. Zupełnie jakby ktoś dźgnął go rozżarzonego prętem w pierś.

Zaklął ponownie, po czym pokręcił głową, żeby wyrzucić z niej niepożądane myśli i doprowadzić się do ładu. Gdy ochłonał, odszedł od stołu. Sposób, w jaki Rejnar się poruszał, przypominał zachowanie całkowicie niewzruszonego człowieka, natomiast drgająca broda zdradzała, że jest skrajnie wzburzony.

Spokojnie już domknął drzwiczki, zza których bił coraz bardziej nieprzyjemny żar, uprzednio wrzuciwszy do pieca list od Veriny – miłość miłością, ale to nie jedyny powód, dlaczego trwał przy tej kobiecie przez ostatnie lata.

Z odrobiną zawodu opuścił komnaty i ruszył ku wyjściu z pałacu, nie oglądając się za siebie. Fakt, szkoda było posady, jaką zapewnił mu król. Lekka praca, dobra płaca, wyuzdany seks z wiedźmą oraz własny kąpielarnia nie mogły trwać wiecznie. Teraz musiał udać się do prawdziwego przełożonego. Miał złe wieści, a to nie mogło czekać.

Zanim słońce wzbilo się na szczyt nieboskłonu, Rejnar był już poza murami miasta. Nikt go nie zatrzymywał, nikt nie pytał, dokąd jedzie. To dobrze. Wiedza, że nigdy tutaj nie wróci, wystarczająco zepsuła mu humor, z kolei przyszłość nie zapowiadała niczego przyjemnego. Z drugiej strony sztywny, odprasowany i wielokrotnie wykrochmalony mundur strażnika ciągle go wkurzał, więc rozstał się z nim bez żalu. Zawsze to jakiś plus.

# ROZDZIAŁ 4



Rejnar przystanął na rozstaju dróg i zerkał na zmianę to w prawo, to w lewo. Za siebie wołał nie patrzeć, aby nie kusiła go chęć powrotu. Zawalił, wiedział o tym doskonale, więc teraz pozostało mu obrać jedną ze ścieżek. Nie miał pojęcia, dokąd mogła udać się Verina, dlatego uganianie się za nią przez pół świata zalaływało desperacją, jednak pojawienie się u mistrza i powiedzenie mu o ucieczce kobiety wcale nie brzmiało lepiej...

Zrezygowany i zmęczony przysiadł na poboczu i się zamyślił. W głowie pojawiła mu się reakcja na słowa: „Znalazłem trupa innej wiedźmy. Chciałem rozegrać to na spokojnie, w czego konsekwencji nie tylko nie wiem, gdzie uciekła

moja podopieczna, ale nie mam również pojęcia, jaką otrzymała wiadomość oraz co powiedziały jej zwłoki. Za to przyjechałem najszybciej, jak to możliwe. Docen'".

Oczywiście wyobraźni zobaczył tę scenę i odruchowo przejechał dłonią po karku. Miał nieodpartą wrażliwość, że po czymś takim straci on pierwotną funkcję, bo zabraknie łba, który utrzymuje. Zakon był potężny, władali nim ludzie o ogromnych umiejętnościach, bezlitośni, zdolni poświęcić siebie i innych dla dobrej sprawy. Racja, tacy jak on wykonywali swoją pracę z poczucia obowiązku, a nie przez widmo kary, ale nie miał wątpliwości, że za takie zawalenie zadania wyrok zapadnie okrutny i jednoznaczny. Pozwolił Verinie uciec, co było najgorszym z przewinień.

*Verina...* Gdy tylko sobie o niej przypomniał, poczuł dziwne ukłucie w miejscu, o którym dotąd wolał nie myśleć. A i w tym niżej też.

Jak mogła?

Z drugiej strony nie zrobiła niczego poza byciem wiedźmą. To on ją oszukiwał, w każdym razie częściowo. Podobała mu się, czuł się przy niej dobrze i w ogóle, lecz nigdy nie zapomniał o swoim podstawowym zadaniu: miał pilnować, czy czarownice czegoś nie kombinują. Jego przełożeni od dawna podejrzewali, że to one stoją za tym, co działo się z ludźmi po śmierci, niestety nijak nie mogli tego udowodnić. Dlatego nakazali wielu takim jak on trwać przy nich, pilnować i obserwować, a w przypadku dziwnych zachowań – niezwłocznie powiadomić Zakon.



Rejnar przymknął oczy i próbował przypomnieć sobie, kim był strażnik martwej wiedźmy, której zwłoki znaleźli w nocy. Zнали się ze szkoleń w przeszłości, potem wymienili kilka listów w terażniejszości, ale nic poza tym. Z tego, co pamiętał, Bazyl to dosyć grubiutki, acz wesoły człowiek. Zdobył zaufanie wyznaczonego mu obiektu dobrodusznoscia i pracował jako jego pomocnik czy coś w tym guście.

Uśmiechnął się na własne szczęście – jedni pilnowali wiedźm, będąc ich pracownikami, inni zaś jako słudzy, a niektórzy tylko śledzili je z bezpiecznej odległości. Jak dobrze, że on połączył przyjemne z pożytecznym.

Znów przypomniał sobie uśmiechy Veriny, gdy leżeli nadzy w jej pokoju, a pot z ich pobudzonych ciał nie zdążył jeszcze wyschnąć. Mała tajemnica, o której plotkowano, jednak nigdy nie próbowano dowieść. Zależało mu na niej – teraz dopiero zdał sobie sprawę, jak bardzo się zadurzył w tej z pozoru delikatnej istocie.

Poczuł się głupio, bo jak by się nie tłumaczył, koniec końców okłamywał ją od samego początku.

\* \* \*

Oszukiwała Rejnara, miała tego pełną świadomość. Powinna była trzymać go na dystans, nie pozwolić, aby ich relacja przerodziła się w coś głębszego, ale nie potrafiła oprzeć się jego urokowi. Pociągał ją i tyle, a to, że przemilczała parę

spraw, uciekając się do niewinnych kręctw, nie mogło przecież mieć wpływu na ich wspólną przyszłość. Prawda?

Nieprawda. Od początku zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później nadejdzie dzień, na który wszystkie czekały. Szkoda tylko, że nie mogła osobiście pożegnać się z kochankiem. Wiedziała, że jeśli powiedziała mu o planowanym opuszczeniu miasta, on od razu zareagowałby w jakiś głupi sposób. Ostatecznie należał do Zakonu, a to zobowiązywało.

Nie miała pewności, do czego Rejnar mógłby się posunąć w takiej sytuacji, wszak wyszkolono go na opiekuna czarownicy i to był główny cel jego życia. Rycerze po kryjomu i w ścisłej tajemnicy śledzili poczynania kobiet posiadających magiczne zdolności, a jednocześnie wyczekiwali znaku. Jakiego, tego chyba sami nie wiedzieli. Coś tam podejrzewali, ale ta ich mała organizacja była na tyle nieszkodliwa i pocieszna, że wiedźmy pozwoliły im działać. Ubaw po pachy.

Uśmiechnęła się odruchowo, chociaż wcale nie było jej wesoło. Od momentu, kiedy przestała normalnie śnić i komunikować się dzięki temu z innymi kobietami po fachu, czuła nieprzerwany lęk. To dlatego siostra wyruszyła w niebezpieczną podróż, ryzykując tak naprawdę wszystko. List spalony wraz z jej ciałem zawierał wyniki badań i obserwacji. Wniosek był prosty – magia wracała, niestety nie sama. Razem z nią podążały istoty, które wiedźmy usunęły ze świata ludzi, poświęcając swoją magię.

Koszmary Veriny i brak możliwości nawiązywania kontaktu z siostrami były usprawiedliwione. Zło próbowało pokonać każdą z nich we śnie, rosło w siłę, czego obawiały się najbardziej. Teraz zrobiło kolejny krok i zaczęło atakować także na jawie. A skoro w tak bestialski sposób zamordowano wiedźmę, oznaczało to tylko jedno: powinny znowu się spotkać, naradzić i podjąć stanowcze działania.

Sprawa była naprawdę poważna, bo nie mogąc rozmawiać na odległość, musiały przekazywać sobie informacje w sposób tradycyjny, a to niosło za sobą spore ryzyko. Verina wiedziała, że wszystkie żyjące wiedźmy dołożą wszelkich starań, żeby pojawić się w wyznaczonym miejscu.

Żałowała, że nie mogła zagrać z kochankiem w otwarte karty. Jego towarzystwo dodawało jej otuchy, poza tym wspólnie osiągnęliby o wiele więcej, ale wątpiła, aby mężczyzna zrezygnował dla niej ze swojej misji.

*Ech, faceci, jak się na coś nakręcą, to nawet imadłem nie da się ich wyprostować.*

Rejnar był... skomplikowany i prosty jednocześnie. Przysięgłaby, że kiedy czasem na nią patrzył, widziała w jego oczach czystą, szczerą miłość, innym razem zaś wydawał się aż boleśnie obojętny. Nigdy nie wyznali sobie uczuć, jednak gdyby miała się zakładać, postawiłaby cały majątek na to, że dowódca ją kochał. Zresztą z wzajemnością, nawet jeśli na okrągło starała się temu zaprzeczać.

Teraz wyjechał w pośpiechu, pełen poczucia obowiązku, z jedyną dla niego prawdą w sercu. Wielka szkoda.

Obserwowała, jak mija bramę i pędzi na zachód. Odczekała w ukryciu jeszcze parę godzin, dopiero wtedy sama opuściła miasto.

Może i członkowie Zakonu są naiwni, ale w walce i tropieniu osiągnęli mistrzostwo – wolała nie ryzykować, że ruszy za nią, a była niemal pewna, że spróbuje, jak tylko ochłonie z pierwszych emocji.

\* \* \*

Rejnar postanowił pokręcić się na uboczu aż do wieczora. Nie miał pojęcia, na co czekał, ale coś mu w tym wszystkim nie pasowało. Irytowało go, że nie potrafił znaleźć ani jednego tropu Veriny, a uważał siebie za dobrego tropiciela. Tymczasem kobieta jakby rozmyśla się w powietrzu. Każdy, kto podróżuje konno, zostawia po sobie ślady – pomijając kwestię odchodów czy pojedynczych włosów, są to połamane gałęzie, odpowiednio roztrącone kamyki czy dziury od kopyt. A tu nic, zasmarkana mać.

Chociaż to niedorzeczne, odrobinę liczył na to, że będzie tędy przejeżdżał ktoś od strony miasta i przekaze mu jakieś wieści o czarownicy samotnie przemierzającej lasy. Zaśmiał się z własnej głupoty, mimo to nadal nie ruszył z miejsca. Zwlekał, bo lubił podróżować po zmroku. Czuł się wtedy o wiele bezpieczniej, poza tym umiał przemykać w ciemności niezauważony.

Miał świadomość, że nie może za długo odkładać przekazania złych wiadomości przełożonemu, ale nie chciał jeszcze się poddawać. Był zdeterminowany, żeby nie wracać do Mistrza z pustymi rękami, więc mógł obrać kilka dróg: dalej uganiać się za nieuchwytną Veriną; podążyć w lewo, prosto do miasta, z którego pochodziła zamordowana wiedźma, i poszukać jej opiekuna; albo w prawo, w długą podróż do Zakonu, żywiąc nadzieję, że w międzyczasie sytuacja sama się naprostuje.

– Może byś coś doradził? – zapytał stojącego obok i spokojnie skubiącego trawę rumaka. Jego wierzchowiec chyba nie do końca wyczuwał dramaturgię sytuacji, bo nie tylko nie przerwał swojego zajęcia, co nawet nie spojrzął w kierunku Rejnara.

Mężczyzna od zawsze lubił zwierzęta, lecz aktualnie zastanawiał się dlaczego. Były pomocne w bardzo ograniczony sposób. Nawet jeśli przywiązywały się do właściciela, to ni w ząb nie rozumiały jego rozterek, a i do pogawędek się nie wrywały. Wieczne niemowy.

– Po prostu dzięki.

Spojrzął w górę na powoli chylące się ku zachodowi słońce. Tracił czas, nic więcej, zatem w końcu podjął decyzję, wierząc, że okaże się tą najlepszą. Wstał z miejsca i zaczął szykować się do podróży, a kiedy miał już dosiąść konia, nagle dotarł do niego paskudny fetor.

Rozejrzał się nerwowo, po czym z niedowierzaniem odkrył, że cała okolica jakby w jednej chwili została opatulona

kłębem duszącej mgły. To nieprawdopodobne, bo opary nigdy dotąd nie działały tak szybko, niemal błyskawicznie i z morderczą precyzją.

Zanim zdążył choćby mrugnąć, rumak zarżał wystraszony. Zatoczył łbem, zalewając pianą z pyska trawę, którą jeszcze przed momentem śmiało podjadał, a jego oczy w ułamku sekundy straciły ostrość. Wydał z siebie ostatni, nieartykułowany dźwięk i z łoskotem zwałił się na ziemię.

Rejnar zerwał się niczym oparzony. Wiedział, że jeśli nie chce podzielić losu zwierzaka, musi czym prędzej znaleźć jakieś schronienie. Czuł, jak coś go dławi i dusi, co oznaczało, że zaraz będzie po nim. Smród mącił jego zmysły, zaburzał percepcję, paraliżował ciało.

Na otwartym terenie mężczyzna miał niewielkie szanse na przetrwanie. W akcie desperacji rzucił się naprzód powłóczystym krokiem. Niczym pijany sprinter pokonał kilkanaście metrów, pozostawiając za sobą zbite tumany morderczych wyziewów, które unosiły się znad gęstych traw rosnących wzdłuż drogi. Rozumiał, z czym ma do czynienia, i że szybka ucieczka to jedyna opcja na przeżycie.

Gnał dalej, coraz bardziej opadając z sił. Zatrzymał się, gdy do jego płuc dotarło zupełnie świeże i rześkie powietrze. Nie zdążył jednak nic więcej zrobić. Runął nieprzytomny pod drzewem.

Verina z oddali widziała trującą mgłę unoszącą się na trakcie. Ktoś nie tylko tu umarł, ale też tkwił na tyle długo, że jego zwłoki wydzieliły śmiertelny gaz. Przyglądała się, jak mordercza pomroka pokrywa całą okolicę: sunie nad ścieżkami, osłania polany i wylewa się spomiędzy drzew.

Odczekała, aż trujący obłok się rozproszy, dopiero potem ruszyła naprzód. Nie odjechała daleko. Zatrzymała konia i zeskoczyła z siodła, kiedy za zakrętem ujrzała martwego wierzchowca – leżał przy samym rozstaju, zupełnie na widoku. Poznała go od razu i poczuła, jak jej serce bije szybciej, a żołądek boleśnie się zaciska. Momentalnie zaczęła okrążyć skażony obszar, wystraszona nie na żarty.

Tego się nie spodziewała.

Nie tak to miało się zakończyć!

Naraz zalała ją ogromna fala ulgi. Rejnar znajdował się w bezpiecznej odległości, nieprzytomny, ale z pewnością żywy. Zbliżyła się do niego i przykucnęła. Na szczęście na jego twarzy nie było widać śladów zatrucia, a przynajmniej w tych niepokrytych zarostem miejscach. To najważniejsze.

Wiedźma odetchnęła głęboko, następnie usiadła przy kochanku. Zastanawiała się, co powinna zrobić. Specjalnie odłożyła wyjazd na później, żeby mężczyzna zdążył się oddalić, więc pozostanie z nim wydawało się nielogiczne. Mimo to nie mogła tak po prostu odejść, nie upewniwszy

się, że nic mu nie zagraża. Zapadał zmierzch i nie chciała zostawiać go samego, bo nie miała pewności, kiedy się ocknie.

– Jeszcze coś mi cię zeżre – wyszeptwała, gładząc z czułością policzek ukochanego.

W sumie dysponowała czasem. Wyznaczony termin sabatu był o tyle odległy, że spokojnie mogła poświęcić parę dni. Poza tym Rejnar wyglądał teraz tak... inaczej. Uwielbiała go w mundurze – bez niego zresztą też – natomiast w zwykłych spodniach i opinającej mięśnie koszuli prezentował się wyjątkowo seksownie. Verina nie potrafiła znów go opuścić.

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że czekanie, aż mężczyzna się przebudzi, to kiepski pomysł, bo jego pierwszą reakcją nie będzie radość z powodu jej obecności ani żadne czułe słowa. Bez wątpienia poczuje zew powołania i spróbuje za wszelką cenę zatargać ją do tego nieszczęsnego Zakonu.

Dobrze, że jako kobieta wiedziała, w jaki sposób rozmawiać z facetami, aby myśleli, że zachowuje się według ich woli, gdy w praktyce było zupełnie na odwrót. Poprawiła ubranie, tak żeby uwidocznic głęboki dekolc, przeczesała fryzurę palcami i uśmiechnęła się słodko kilka razy na próbę.

*Ech, mężczyźni*, pomyślała, lekko zażenowana własnym zachowaniem.

\* \* \*

Świat powoli wracał do Rejnara: gdzieś na granicy świadomości wyczuwał jeszcze delikatną nutę odoru, który prawie



pozbawił go życia. Ale... coś oprócz tego przebijało się do jego umysłu, wznajając niczym ostrze, alarmując i stawiając do pionu wszystkie włosy na ciele.

Zapach Veriny.

Uniósł powieki i pierwsze, co zobaczył, to jej piękna, zatroskana twarz. Kobieta pochylała się nad nim, a ogromne, brązowe oczy wpatrywały się prosto w niego.

– Chyba śnię – wyszeptał.

– Fakt. Ja tu się martwię, a ty śpisz.

Ta mocno ironiczna odpowiedź od razu rozbudziła nie tylko umysł Rejnara, a także czujność oraz poczucie obowiązku. Szybko podniósł się do pozycji siedzącej i natychmiast tego pożałował, bo jego wzrok znalazł się na tej samej wysokości, co dekollet wiedźmy.

To totalnie go rozproszyło. Jeszcze kilka sekund temu myślał wyłącznie o tym, że gdzieś niedaleko zostawił swoje rzeczy, a wśród nich linę, którą mógłby związać Verinę, aby nigdy więcej mu nie uciekła. Teraz jego pobudzona wyobraźnia podsuwała odrobinę inne obrazy. Wciąż zawierały linę, wiązanie w sumie też, tyle że puenta była nieco odmienna.

Zmarszczył brwi, rozejrzał się wokół i naraz coś sobie uświadomił: już nie musieli się przed nikim ukrywać. Przebywali sami w ciemnym lesie, daleko od miasta, jeszcze dalej od Zakonu, problemów oraz obowiązków. Mogliby bezzwłocznie ruszyć w drogę, tak pewnie byłoby najrozsądniej, albo...

Przerwał rozmyślania, gdy wiedźma nagle uśmiechnęła się w jednoznaczny sposób, najwyraźniej dochodząc do identycznych wniosków. Podciągnęła suknię, usiadła na jego kolanach i go pocałowała, a jak tylko Rejnar poczuł smak ukochanej, błyskawicznie zapomniał o całej reszcie.

– Tęskniłeś? – szepnęła mu zaczepnie w usta i stymulująco poruszyła biodrami, na co mężczyzna mocno wbił w nie palce, po czym uniósł Verinę, by zaraz położyć ją na trawie.

– A ty? – Zawisł nad nią, opierając łokcie przy jej bokach. – Zakładam, że tak, skoro nie dałaś rady wytrzymać beze mnie nawet paru dni. – Triumfował. Chociaż zamierzał wszystko rzucić i do upadłego szukać kochanki po świecie, postanowił zachować tę informację dla siebie. To ona go odnalazła. Teraz był górą, dosłownie i w przenośni.

– Ani odrobinę – mruknęła. Kłamała, widział to w jej błyszczącym pożądaniem spojrzeniu. – Więc chcesz dalej o tym rozmawiać czy...

Nie dokończyła. Znowu zaczęli się całować, tym razem głębiej i z większą desperacją, jakby oboje próbowali uniknąć poważnej deklaracji, a jednocześnie zapewnić siebie nawzajem o swoich uczuciach. Rejnar przeniósł dłoń na udo Veriny, masował je przez chwilę, następnie zawędrował wyżej, by dostać się do jej najczulszego miejsca. Kiedy zanurzył tam palce, kobieta jęknęła z rozkoszą i szarpnęła za pasek w spodniach partnera, co ponownie pobudziło jego wyobraźnię. Sznur to to nie był, ale też idealnie nada się do podkreślenia atmosfery.

Zanim zwątpił, na moment zaprzestał erotycznych zabiegów. Złapał pas, związał nim nadgarstki Veriny nad jej głową, potem dotarł językiem tam, gdzie wcześniej zbłądził palcami. Teraz mógł sprawić kochance przyjemność bez obaw, że ta ze zniecierpliwieniem mu w tym przeszkodzi.

Jednak każda kobieta, unieruchomiona czy nie, zawsze wiedziała, jak dopiąć swego. Gdy tylko mężczyzna sięgnął ustami do piersi wiedźmy, ona z warknięciem oplotła go nogami w pasie i mocno do siebie przyciągnęła. Doceniała jego oralne umiejętności, naprawdę, lecz aktualnie pragnęła czegoś więcej – chciała poczuć w sobie, jak ukochany cholernie jej pragnął.

Rejnar miał ochotę zwlekać i wykorzystać fakt, że donikąd im się nie spieszyło, ale nie potrafił panować nad żądzami. Verina już niemal drżała pod nim z ekstazy od samego jego dotyku, a zmysłowe jęki, jakie z siebie wydawała, pobudzały go jak nic innego na świecie. Wariował, będąc z nią. I, co ważniejsze, uwielbiał ten stan. Przy wiedźmie wszystko zdawało się magiczne, tajemnicze, wyjątkowe.

Tej nocy wielokrotnie udowodnił kochance, jak bardzo za nią tęsknił. Ona jemu też.

\* \* \*

Miasto z oddali wyglądało normalnie, tak jak każdego dnia: wysokie mury, strzeliste wieże, wrażenie dostojności i bezpieczeństwa wyczuwało się z daleka. Małe otwory strzelnicze

skutecznie odstraszały ewentualnych najeźdźców, natomiast dobrze ubity trakt oraz szeroki most zwodzony, prowadzący do szerokiej bramy, miały za zadanie zachęcić handlarzy i wędrowców. Niby wszystko wydawało się w porządku, mimo to wychodzący z lasu Rejnar od razu zdał sobie sprawę, że coś się stało. Verina, która podążała za nim na koniu, jechała w milczeniu, ale swoim wyrazem twarzy oznajmiała światu i okolicy: „A nie mówiłam?”.

Mężczyzna nawet nie spojrzął w stronę wiedźmy, bo wolał nie widzieć jej zadowolonej miny. Cwaniara zawsze umiała coś przewidzieć albo bezbłędnie odgadnąć. Skupił się na odległych murach, lecz jeszcze zanim zbliżył się do wejścia, wyczuł charakterystyczną, choć bardzo słabą woń: zgnilizna.

– Co, do...?

Nie dokończył tego merytorycznego pytania, gdyż niedaleko bramy, znad której napływały wręcz namacalne kłęby zielonej chmury, zobaczył kilka skulonych pod murem osób. Siedziały jedna przy drugiej, w ciszy, z głowami opuszczonymi na piersi.

Rozejrzał się niepewnie. Wiedział, że nie ma zbyt dużego wyboru, więc podszedł ostrożnie do nieruchomych postaci, cały czas opierając dłoń na rękojeści miecza. Wolał go na razie nie wyciągać – po pieszej podróży wyglądał jak siedem nieszczęść, śmierdział jak co najmniej parę następnych, a gdyby dzierżył do tego obnażone ostrze, zapewne wzięliby go za... wroga? Nie, to akurat niemożliwe, od lat

nie toczono żadnych wojen. Ostatnia, w której niestety nie miał okazji brać udziału, bo był zaledwie nastolatkiem, odbyła się ponad dekadę temu. Opowiadano mu, że po tym, jak przez tydzień nad całym polem bitwy roznosił się trujący ze zwłok gaz, zaprzestano podobnych praktyk.

Zresztą większość państw miało aktualnie własne problemy z trupami, po co tworzyć kolejne? Tymczasem chuliganów jak zawsze nie brakowało. Dlatego już z odległości kilkunastu kroków od siedzących krzyknął:

– Nie jestem bandytą! – Gdy wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, jak idiotycznie brzmiały. – Znaczący: bądźcie pozdrowieni. Wszystko w porządku?

Ponieważ nie doczekał się odpowiedzi, podszedł bliżej. Dopiero teraz dostrzegł to, co z odległości mu umknęło – postacie w żaden sposób się nie poruszały. Nie spodziewał się co prawda po nich tańców czy podskoków na widok nadchodzącego przybysza, jednak unoszące się przy każdym oddechu piersi byłyby całkiem mile widziane. Niestety na to też nie mógł liczyć.

Zatrzymał się o krok od nich i upewniwszy się, że nie żyli, wyciągnął miecz. Końcówkę wsadził pod brodę jednego z nieszczęśników, po czym delikatnie dźwignął ją ku górze. Tak, jak się spodziewał, skórę pokrywały szpecące bąble: popękane, gnijące, naznaczały praktycznie całą twarz, tworząc przerażający widok. Odruchowo przejechał wolną ręką po swojej – na szczęście w porę zareagował na szlaku i trucizna nie zdążyła wyrządzić mu trwałej szkody.

Ci tutaj najprawdopodobniej zbiegli przed pewną i nagłą śmiercią w mieście, ale nie zdążyli się schronić, przez co spotkała ich inna, wolna i bolesna przed murami. Nawdychali się zbyt dużo, żeby ich organizmy zwalczyły toksyny: paskudny koniec i ironia w jednym.

Mężczyzna schował z powrotem miecz i zaczął analizować swoje położenie. Skoro miasto w całości zostało zatrute, opiekun tutejszej wiedźmy albo nie żyje, albo uciekł. To z kolei oznaczało, że Rejnar może ze spokojnym sercem zawrócić, aby udać się do przełożonego. Musi tylko przekonać do tego Verinę lub, czego wolałby nie robić, zwabić ją tam podstępem czy siłą.

Szkolenia, które odbył za młodu w Zakonie, przygotowały go do walki z wiedźmami na wszystkich frontach, fizycznych oraz psychicznych. Wiedział, jak postępować, by nagiąć kobiecą wolę do swoich potrzeb, a w najgorszym przypadku, jak porządnie związać i zakneblować – cel uświęcał środki.

No i musi czym prędzej oddalić się od podpierających mur delikwentów, bo lada moment sami zaczną wydzielać trujący obłok.

Rejnar spojrział na Verinę, ale zanim się odezwał, z jej ust padło pytanie:

– A nie mówiłam?

– Mówiłaś – burknął niezadowolony, darując sobie wszelkie riposty, których miał mnóstwo na podorędziu. Nie było sensu się spierać, gdy oboje doskonale wiedzieli, że

wiedźma i tak obróci sytuację na swoją korzyść. Rejnar czuł się przy niej bezbronny, a jednocześnie niewyobrażalnie silny. Nigdy do końca nie rozumiał, jak to funkcjonowało, jednak oddziaływali na siebie w wyjątkowo mocny sposób.

To musiała być magia.

\* \* \*

*Rozkosznie wygląda, kiedy tak ze złością zaciska szczęki, pomyślała Verina, ale nie zamierzała okazywać ani rozbawienia, ani czułości.*

Wbrew temu, co potrafiła, i temu, co podpowiadał jej rozum, zgodziła się na szalony pomysł partnera, żeby wrócić do miasta. Podejrzewała, co tam zastaną, lecz nieformalnie byli z Rejnarem w związku, a w nim, jak na bitwie, każda przewaga się liczy. Dzięki temu wygrywała jednym punktem.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, dlatego od razu ostrzegam: nie teraz.

Wyraz zaskoczenia w jego oczach oraz wciąż drgająca zuchwa prawie doprowadziły kobietę do wybuchu śmiechu. Na szczęście całym wysiłkiem woli zdołała zachować powagę. Nie chciała złościć mężczyzny, bo jej ledwo zdobyta przewaga mogłaby szybko zostać utracona.

Poza tym chociaż wściekła mina kochanka ją bawiła, wcale nie sprawiała radości. Wiedziała, jak bardzo lubił mieć nad wszystkim kontrolę i jak cholernie czuł się w tej chwili

rozdarty. Rycerze Zakonu zwykli traktować obowiązki z najwyższym szacunkiem i wypełniać je nawet za cenę życia, tymczasem ta sprawa coraz bardziej się komplikowała. Nic dziwnego, że Rejnar robił się drażliwy. Każdy na jego miejscu ciskałby właśnie wszelkimi znanymi przekleństwami.

– Słuchaj – zaczęła. Nie mogła patrzeć, jak się biedak męczy. – Toksyny w powietrzu unoszą się tak naprawdę kilkanaście godzin. Sporo z nich musiało już ulecieć, więc jeśli poczekamy jeszcze trochę, będziemy mogli wejść do miasta. Wtedy powinno udać się ustalić przyczynę tego całego zamieszania – oznajmiła. Mężczyzna przed nią najwyraźniej walczył z myślami, zatem zeskoczyła z konia, następnie szybko dodała: – I tak zbliża się wieczór, nie będziemy przecież bez celu szwendać się po nocach. Rano wejdziemy do środka, sprawdzimy, co i jak, a potem ruszymy dalej.

– Prosto do Zakonu – rzucił twardo i nie czekając na odpowiedź, odwrócił się w stronę siedzących pod murem zwłok. – Musimy tylko trochę się oddalić od tych tutaj.

Verina przytaknęła i położyła dłoń na jego ramieniu. Wiedziała, że kontakt fizyczny odrobinę go uspokoi. Nie spodziewała się jednak, że Rejnar nagle obdarzy ją uśmiechem, po czym czule pocałuje. Po latach sekretnych randek, ukrywania się i zachowywania pozorów taka spontaniczna reakcja byłego dowódcy wydawała się miłą odmianą. Odwzajemniła pieśczętę, ale zaraz się cofnęła, kiedy poczuła pieczenie oraz tępy ból w okolicy skroni – mimo że biły od znaku, rozchodziły się po całej głowie.



*To coś znowu atakuje, niedobrze.*

– Prowadź, mój rycerzu – zażartowała, nie chcąc dać niczego po sobie poznać.

Mężczyzna spojrzął na wiedźmę spod zmarszczonych brwi, lecz się nie odezwał. Popatrzył wokół i wskazał ręką wzniesienie, z którego roztaczał się widok na całe miasto.

– Chodźmy. – Puścił ją przodem. Na poły przez to, że chciał mieć ją na oku, na poły z powodu faktu, że teraz mógł bezkarnie wpatrywać się w zgrabne kształty kochanki.

Nawet nie zamierzał temu zaprzeczać.